Taki tam orientalizm

Ziemowit Szczerek

Poleciałem sobie kiedyś do Tunezji. Co tam, pomyślałem. W Polsce trwała akurat jakaś przerażająca zima, poniżająca zima; generalnie wmawiam sobie, że nie mam nic przeciwko zimom, i często nawet udaje mi się osiągnąć sukces w tym wmawianiu sobie, udaje mi się stawić czoła realiom geograficzno-klimatycznym, w których przyszło mi żyć. Ale czasem nie daję rady i odpuszczam, poddaję się, i wtedy właśnie, tamtego lutego, zimnego jak najbardziej dołujące chwile lat osiemdziesiątych – poddałem się. Za oknem było ciemnogranatowo łamane przez czarno. Tradycyjna polska noc polarna z jakimś splunięciem od czasu do czasu udającym dzień. Nie dałem rady.

- Tomciu – powiedziałem do mojego kolegi, który ma biuro turystyczne. Dużo wtedy piliśmy, bo pogoda była nieustająco barowa. – Sprzedaj mi jakąś wycieczkę gdzieś. Chcę gdzieś polecieć. Mam parę tekstów do napisania, ale nie mogę się skupić. Co spojrzę za okno, to mam ochotę napisać smutny wiersz i podciąć sobie żyły. A tak to polecę gdzieś, gdzie jest ciepło i popiszę sobie spokojnie. Sprzedaj mi coś niedrogo i natychmiast.

- Natychmiast?

- Natychmiast.

- Natychmiast i niedrogo… – Tomcio wyjął smartfona i smyrał ekran – niedrogo to masz… masz… w Tunezji… ale, hm…

- Wspaniale – ucieszyłem się – nigdy nie byłem w Tunezji.

- Nie ciesz się – odpowiedział Tomcio. – To nie ja cię wysyłam. Moja firma nie organizuje wycieczek, tylko pośredniczy. Twoją wycieczkę organizuje firma Thuje.

- Thuje – powtórzyłem.

- Thuje, tak – Tomcio też powtórzył. – Thuje jest firmą najtańszą, bo chciałeś tanio i chciałeś natychmiast. Ja ci kupię bilety, ale nie biorę odpowiedzialności za to, co ci Thuje tam zorganizuje.

*

Już na lotnisku, na Okęciu, zacząłem się zastanawiać, czy nie popełniłem poważnego błędu. Na czarter do Tunezji czekała razem ze mną wesoła czeredka z walizkami w wesołych kolorach. Na szyi każda z tych osób zawieszone miała radośnie i oczojebnie żółte nieprzemakalne etui na dokumenty i kasę. Takie do zakładania na szyję w razie chęci wykąpania się w morzu, żeby z torby plażowej nikt nic nie poddupczył. Póki co jednak w etui, za folią, tkwiły bilety, foldery, kupony na jakieś obiady, promocyjne ulotki, wsjo. Na folii widniał wielki napis „THUJE”. Ojcowie rodzin, rozradowani i podjarani, z ziejącymi żółcią etui na szyi, dokazywali z dziećmi, również podjaranymi. Matki kręciły się w kółko po hali odlotów, odklejone nieco, pisały esemesy do koleżanek. Kilka – na oko – pięćdziesięciolatek przechadzało się w okolicach bramki z – na oko – kochankami w wielu lat dwudziestu paru. Na-oko-pięćdziesięciolatki wyglądały na pracownice biurowe i drobne biznesmenki, a na-oko-kochankowie – na pracowników ojczystego sektora budowlanego. Panie, mijając się, unikały wzajemnie swojego wzroku. Panowie mrugali do siebie wzajemnie. A może było odwrotnie, nie pamiętam już najlepiej. Pamiętam, że ktoś mrugał, a kto inny wzrok odwracał. Wszyscy nosili te żółte etui.

Podkręciło się do grupki dwóch hipsteroidów spod innej bramki, bodaj czy nie na Berlin, i się z tych etui zaczęło nabijać. Że wieś, że co to ma być, takie etui. Że polaczkowanie. Jakiś pan Janusz postawił się im bohatersko.

- Co wom się w etui nie podoba, co? – Pytał hipsterów, podtykając im etui pod nosy. – Co wom się, kurwa, nie podoba.

Ci być może chcieli i rzucić jakiś konkret, ale nic ewidentnie nie przychodziło im do głowy, próbowali więc obrócić sprawę w szyderę, ale Janusz nie dawał za wygraną. – No ale wyjaśnijcie, no co? – Pytał. – Co wam się nie podoba, co się przypierdalacie, co. Hipsterzy dali sobie już spokój z szyderą i próbowali już choć tylko w żart obracać. Ale pan Janusz był nieugięty. Wytłumaczcie mu i wytłumaczcie, co w tych etui złego: praktyczne, bo się człowiek nie martwi, że go na plaży okradną; jasny ma etui kolor więc z daleka widać, nie zginie, reklama jest – bo czemu by się miała firma nie zareklamować. Hipsterzy w końcu poddali się, złożyli uszy po sobie i spierdolili.

Po jakimś czasie, widocznie namyśliwszy się, wrócili.

- Bo to jest wie pan, jakby pan sandały na skarpety nosił – oznajmili tryumfalnie panu Januszowi.

- No ale co jest właściwie złego w sandały na skarpety – zapytał ich pan Janusz.

Hipsterzy zastygli w jakiejś quasi-szyderce, coś tam próbowali dukać, coś tam próbowali mendzić, ale koniec końców poddali się po raz wtóry i zwiali na swój samolot do Berlina. Czy gdzie tam latają hipsterzy.

*

- Pan z naszej grupy? – Podeszła do mnie drobna brunetula, chuda i z ciężkim sercem, na oko, znosząca zatrudnienie w firmie Thuje. Poczułem wielkie opory, żeby powiedzieć to na głos. „Tak, jestem z waszej grupy udającej się na wycieczkę all inclusive do Tunezji". Żeby to ogłosić, bo to prawie jak ogłoszenie w dzienniku ustaw i lokalnej prasie. Jak umieszczenie zawiadomienia na drzwiach.

- Teeeejaaammm – burknąłem. – Pooonieeekąąąd. Ale nie chcę etui. Ja tak w ogóle to w ramach grupy mam tylko przelot i hotel – dodałem tonem wyjaśniającym. – Resztę to ja sobie na własną rękę chcę… Wie pani.

Ta machnęła ręką.

- Dobra, dobra – odpowiedziała. – Chuj mnie to obchodzi w zasadzie. Niech se pan weźmie to etui, nie musi se pan wieszać, ale szkoda, żeby przepadła promocja na dżakuzi, arbuzi i takie tam, jak pan zapłacił. Nie?

- No – mruknąłem, rozejrzałem się wkoło, zabrałem etui i schowałem do kieszeni bojówek. I znów oddaliłem się od grupy na odległość sugerującą, że nie mam z nią nic wspólnego.

*

To było jeszcze przed Arabską Wiosną, przed całą tą tunezyjską awanturą, więc na lotnisku przywitał mnie wielki Ben Ali. Wielki, uśmiechnięty pysk pod półksiężycem i gwiazdą na czerwonym tle. Celnicy wyglądali, jak aktorzy odgrywający przed turystami role dobrych celników.

- Cel przyjazdu? – Spytał mnie wąsaty pogranicznik w czapce. – Turystyczny? Tak?

- Nie mam celu – odpowiedziałem, bo mi mentalne etui na szyi zaczęło zawadzać. – Przyjechałem bez celu. Wolno mi?

- Każdy ma w życiu jakiś cel, my friend – pogranicznik spojrzał mi prosto w źrenice, oczy miał głębokie, krowie, okolone gęstą, długą rzęsą, nie pasowało to do jego wąsów. – Ty też. Poszukaj, poszukaj. Tymczasem piszemy: „turystyczny".

*

Przed lotniskiem czekał na nas pan Ahmed, opierał się plecami o minibusa i palił papierosa. Pan Janusz, pan Andrzej, z którym się pan Janusz zdążył zaprzyjaźnić w samolocie za jakieś 20 euro, bo tyle wyniosły drinki mniej więcej, spojrzeli panu Ahmedowi głęboko w oczy, a on spojrzał im. Był mniej więcej w ich wieku, nosił wąsy, włosy zaczesane do tyłu, tani, brązowy garnitur i zakurzone, rozdeptane buty. Wytrzymywali przez chwilę swoje spojrzenia. Zerkałem na nich, zafascynowany, bo oto spotkały się dwa światy panów, panowie Ahmedowie i panowie Januszowie nie spotykali się raczej w historii, no, chyba, że jacyś przodkowie pana Ahmeda i pana Janusza starli się gdzieś pod Kamieńcem Podolskim czy Wiedniem, pan pra-Janusz w służbie Rzeczpospolitej, pan pra-Ahmed – w otomańskiej, ale to był jednak rozstrzał, dwa odmienne światy. Nie pasujące do siebie światy krzepkich, cwanych chłopów, jeden północny, rozmiękły, rozpuchły, pustaczany, w wiecznej mgle i zamgleniach, opadach umiarkowanych, rozćtapany w czarnosiwym śniegu, płowy, i drugi – suchy, kamienisty, porośnięty rzadko, ale krzepko, twardy, rozgrzany, czarnowłosy. Zastanawiałem się, kto by zwyciężył, gdyby rzucili się sobie do gardeł.

*

Pan Ahmed wiózł nas przez przedmieścia Susy. Była noc i prawie nic nie było widać. Oglądałem ogrodzenia i ledwie oświetlone ściany domów. Malowane krawężniki. Grupa wycieczkowa chichotała, wrzeszczała i podawała sobie jakieś flaszki ponad oparciami siedzeń. Było jak na szkolnej

wycieczce. Dzieci się darły. Jakaś dziewczyna, na oko z osiemnaście lat, opowiadała czerdziestokilkuletniej pani, że jedzie do swojego chłopaka, Mehmeda. Że poznali się pół roku temu na wakacjach, że Mehmed uwielbia piłkę nożną i amerykańskie filmy, i włóczyć się z kolegami, że on przyjedzie do niej do hotelu i że ona chce z nim być przez resztę życia, i że on też. Czterdziestokilkuletnia pani bardzo chciała parsknąć ze śmiechu, ale robiła wszystko, żeby utrzymać poważną minę.

*

Było może z dziesięć stopni i padało. Cała grupa była nieco obrażona na pogodę. Wszyscy chyłkiem przemknęli z minibusa do hallu hotelowego. W ciemności majtały zawieszone na szyjach etui. Odźwierni w liberiach palili papierosy pod daszkiem. W hallu czekała rezydentka. Rozsiadła i rozkokoszona, rozparta w fotelu. W dłoni trzymała jakieś segregatory. Zgromadziła wszystkich w hallu i zaczęła im opowiadać o ekstra płatnych atrakcjach, które przygotowała dla nich firma Thuje. Widowisko światło i dźwięk, przejażdżka na wielbłądach i quadach, wycieczka na pustynię. Zarejestrowałem się w recepcji i poszedłem do pokoju. Nie rozłożyłem nawet komputera i położyłem się do łóżka.

*

Na śniadanie były jakieś rybki i wędlina, od której robiło się ciężko na żołądku. Wszyscy bardzo uważali, żeby nie nakładać na talerze za dużo i żeby nie wyjść na buraków. Polacy zerkali, czy Ruscy nie biorą przypadkiem pełnych, kopiastych talerzy i czy nie można by się z nich pośmiać. Ale nie brali, brali akurat tyle, żeby wystarczyło. Być może też uważali i też zerkali na innych. Nie wiem.

*

Poszedłem do miasta. Nie padało już, ale od strony Morza Śródziemnego ciągnęły ciężkie chmury.

- Od Europy idą tu na nas te kurwy – powiedział jakiś ciężko zbudowany Polak do żony. Oboje mieli na sobie kolorowe przeciwdeszczowe kurteczki za parę dinarów, które sprzedawał smutny chłopak wprost z folii rozłożonej na chodniku. Patrzyli w ciężkie niebo. Żonie zadzwonił telefon.

- Tak, w Tunezji. Nie mogę rozmawiać długo, bo roaming. Pisz, Ewa, esemesy – rzuciła do słuchawki. – Pogoda? No, jaka taka. No dobra, to na razie.

*

Poszedłem dalej, w ponure miasto. Pod hotelami wlokła się turystoza. Jakieś sklepiki z pamiątkami, muszelkami, pocztówkami, ale wszystko pozamykane, bo poza sezonem. Próbowałem uzmysłowić sobie, że jestem – było nie było – w Afryce, na berberyjskim, arabskim wybrzeżu, ale musiałem mocno się do tego zmuszać.

*

Samochody jeździły stosunkowo wolno, jakieś czterdzieści-pięćdziesiąt na godzinę, ale wydawało się, że jadą wszędzie. Jeździły tak, jak się chodzi w tłumie: przepychając się, trąbiąc, nie zwalniając dla nikogo, nie przepuszczając. Chyba, że się wymusiło. Po prostu wszedłem między nie i udawałem, że je ignoruję. Wtedy trochę zwalniały. Nie miałem pojęcia, co dalej. Gdzie iść, co ze sobą zrobić. Pod murami medyny stały autobusy. Kierunki miały wypisane arabskimi literami na białych prostokątach dykty wstawionych za przednią szybę. Nic z nich nie rozumiałem. Nawet mi się to podobało. Wsiadłem do pierwszego lepszego i podszedłem do kierowcy. Ten na palcach pokazał mi, ile dinarów kosztuje przejazd. Dałem mu i

usiadłem na zniszczonej tapicerce siedzenia. Pogoda była taka, że zacząłem się zastanawiać, czy za chwilę nie spadnie śnieg.

*

Krajobraz zmieniał się niby, ale nie widziałem tego za dobrze. Budynki, pobocza – wszystko się zmieniało, ale nie byłem w stanie uchwycić ich kształtu. Bezkształt stanowił dominantę. Przybudówki, dobudówki. To znaczy – miało to wszystko kształt, było bardzo dla siebie charakterystyczne: niskie, najwyżej dwupiętrowe budynki, jakieś smutne sklepiki na parterze, było to wszystko może i egzotyczne, ale wydawało mi się zarazem doskonale nijakie. I powtarzalne. Trudno było dostrzec jakikolwiek porządek i plan. Tu i ówdzie stał meczet. Jechałem, i miałem wrażenie, że stoję w miejscu. Na którymś z kolejnych przystanków wysiadłem.

*

Zapuściłem się w uliczki. Byli tutaj sami lokalni. Ani pół turysty. Niby powinno mnie to ucieszyć, ale nie cieszyło. Niebo było sine. Chmury znad Europy, te kurwy, szły jak szły. Nie miałem pomysłu, co robić z tym wszystkim dalej. Usiadłem w jakiejś knajpie i zamówiłem grillowane, mielone mięso z frytkami i ajranem. Kilku facetów piło herbatę i gapiło się w telewizor, na jakąś saudyjską telenowelę, w której wszystkie bohaterki nosiły zasłony na twarzach. Wyglądało na to, że je rozróżniali, bo żywo komentowali akcję. Zapytałem o piwo. Właściciel podał mi je, ale skinął głową, że mogę je wypić tylko za przepierzeniem. Dopiero teraz zauważyłem, że za kotarą jest jeszcze jedna sala. Wszedłem. Było zadymione. Przy rachitycznych stoliczkach siedzieli kolesie o poszarzałych twarzach. W telewizorze leciała ta sama telenowela, ale nikt na nią nie patrzył. Nikt ze sobą nie rozmawiał. Wszyscy pili piwo w małych butelkach

po 0,33. Ale pili je tak, jakby brali ciężkie narkotyki. Z poczuciem winy i beznadziei. Tak, myślałem, musiały wyglądać tanie palarnie opium w angielskich miastach na początku XX wieku. Alkohol na legalu, ale mniej akceptowane społecznie używki – w ukryciu. Przysiadłem się do jednego z pijących, miał koło pięćdziesiątki i smutne wąsy. Mówił po niemiecku, pracował w Berlinie jakiś czas. Na budowie. Wrócił, mówił, bo nic tam nie miało sensu. Pracował, zarabiał, ale nie miał pojęcia, co robić po pracy. Nie miał pojęcia, po co mu te zarobione pieniądze. Siedział w domu i oglądał telewizję, którą ledwo rozumiał. Jedyne, mówił, czego się w Niemczech nauczył, to pić alkohol. Ale pił zawsze sam, bo z kim miał pić. Wrócił więc. Ale dalej pije. Sam, bo z kim ma pić. Dopiłem swoje i poszedłem.

*

Z trudem znalazłem przystanek i wsiadłem autobus jadący w drugą stronę, z powrotem do Susy. Siedziałem i znów gapiłem się w okno. Próbowałem czytać, ale nie mogłem się skupić.

*

W Susie kręciłem się po medynie. W niższej jej części, którą obleźli turyści, nie dało się oddychać. Sprzedawcy fizycznie wciągali spacerujących ludzi do swoich sklepików, a jeśli – nie daj boże – któryś z turystów wykazywał zainteresowanie jakimkolwiek artykułem, rzucali się na niego z rozcapierzonymi palcami.

- Hello, my friend, where are you from, my friend. You’re from Britain? Germany? Russia? Poland? Oh, it’s so cold in Britain/Germany/Russia/Poland. Why don’t you buy a leather jacket? I have a great choice of leather jackets.

I tak dalej. Turyści oganiali się od nich jak od os.

- Skąd jesteś, my friend? – Skoczył na mnie jeden ze sprzedawców, młody chłopak z żelem na głowie, w podrabianych najkach, podrabianych levisach i podrabianej koszuli Tommy'ego Hilfigera.

- Kongo – rzuciłem. – Jestem z Kongo.

Popatrzył na mnie jak na wariata.

- Nie – uśmiechnął się. – Nie jesteś z Kongo.

- Jestem.

- Jesteś z Rosji, tylko się wstydzisz.

- Ależ skąd – upierałem się. – Jestem z Kongo.

- To z Polski, ale też się wstydzisz.

- Kongo.

- Fuck off – machnął ręką sprzedawca. – Fuckin' nigga.

*

Chodziłem uliczkami medyny. Chciałem poczuć klimat tego całego pieprzonego orientu, tej pieprzonej baśni tysiąca i jednej nocy, Magh-kurwa-rebu, ale tutaj, w Susie, była po prostu codzienność. Inna niż w Polsce, owszem, ale codzienność.

*

Na drugi dzień też wsiadłem do pierwszego lepszego autobusu. Wyjechaliśmy z Susy i snuliśmy się prowincją. Najpierw siną drogą prowadzącą przez brązowożółty ugór, a później znów zaczęło się coś, co przypominało przedmieścia Susy, tylko mniejsze. Było to, pomyślałem, w pewnym sensie bardzo podobne do Polski. Ten sam chaos przykrywający

właściwy kształt miast i miasteczek. I, podobnie, jak w Polsce, wszystko w tym chaosie wyglądało podobnie do siebie. Czasem tylko budynki były mniejsze, czasem zabudowa się rozrzedzała, ale chaos nie znikał. Nużył, wlókł się i nie pozwalał rzeczywistości przybrać jakiejkolwiek formy.

Wyjąłem notes i zacząłem szkicować. Patrzyłem za okno, rysowałem kilkanaście kresek, później znów zerkałem, i, mimo, że autobus był już w innym miejscu i patrzyłem na coś innego, kolejnych kilkanaście kresek pasowało doskonale do tego, co już miałem na kartce. Przy ulicy stał policyjny radiowóz. Tunezyjscy gliniarze w dżokejkach i jasnoniebieskich koszulach spisywali jakiegoś gęsto się tłumaczącego nieszczęśnika w sinym renaulcie. Naszkicowałem radiowóz i opisałem go, małpując arabskie litery układające się w napis „policja".

- Znasz arabski alfabet? – Usłyszałem nagle nad swoim ramieniem. Podniosłem głowę. Nade mną stał chłopaczek, na oko dwadzieścia parę lat.

- Nie znam – złożyłem notatnik. – Tak sobie małpuję.

- Mogę tu usiąść? – Spytał, wskazując siedzenie obok mnie.

- Jasne – zdjąłem z siedzenia plecak i położyłem go na ziemi. Usiadł, podnosząc lekko nogawki dżinsów, żeby mu się nie wypchały od kolan. Dawno nie widziałem tego gestu. Ostatnio, przypomniałem sobie, gdzieś w jakimś kościele w Polsce. Mężczyźni robili to, gdy klękali.

- Jestem studentem – powiedział. – Studiuję język angielski. Jak ci się podoba mój angielski?

- Bardzo dobry – patrzyłem na niego. – Długo się go uczysz? – Dodałem, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Skąd jesteś? – Zignorował moje pytanie.

- Z Polski.

- I jak jest w Polsce?

Wzruszyłem ramionami.

- A jak sobie wyobrażasz, że jest?

Uśmiechnął się.

- Polska to Europa – powiedział. – Musi być ładnie.

- Hmmm – zawiesiłem głos. – Hmmm – powtórzyłem, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. – To wschodnia Europa, wiesz – dodałem w końcu starając się, by nie brzmiało to zbyt przepraszająco.

- W Europie jest zielona trawa – powiedział chłopaczek. – A tak w ogóle, mam na imię Mehdi.

- Zimą nie ma zielonej trawy.

- U nas nie ma nigdy – uśmiechnął się smutno. – I zamki są. I królowie, i królowe. A ta trawa jest strzyżona, tak bardzo równo.

- W Polsce – odparłem – z rzadka.

- I są wodospady, i góry, i jest chłodno, przyjemnie.

- Skąd wiesz – zapytałem. – Byłeś?

- Widziałem zdjęcia – powiedział. – Mój przyjaciel mieszka w Europie. Mike. Anglik. Mówił, że mnie zaprosi do siebie, do Londynu. Europejczycy są fajni.

- Wszyscy?

- Nie wiem – miał poważną minę. – Wszystkich nie znam. Popatrz – wyjął z kieszeni telefon – mam jego zdjęcie. To Mike.

Mike wyglądał na dwadzieścia kilka lat, był ryżawy i tłustawy, przypominał mopsa. Za parę lat, pomyślałem, będzie wyglądał jak Winston Churchill. Siedział przed jakąś knajpą, na stoliku stała szisza.

- Poznałem go w Kairuanie – powiedział Mehdi. – To moje rodzinne miasto. Przyjechał je obejrzeć, bardzo mu się podobało. Zaprosiłem go na obiad do moich rodziców. To mój przyjaciel. Spędziliśmy bardzo fajny dzień.

- A ile razy się widzieliście? – Zapytałem.

- Tylko raz – odparł Mehdi. – Czasem piszemy do siebie maile.

- Aha – odpowiedziałem.

- Obiecał, że zaprosi mnie do Anglii. Bardzo chcę mieszkać w Europie. Tylko wiesz co, u was, w Europie, panuje straszna islamofobia. Jesteście bardzo nietolerancyjni w stosunku do muzułmanów.

- A muzułmanie – zapytałem – czego nie tolerują?

- Tolerujemy chrześcijan – uniósł ręce, jakby się bronił. – Szanujemy.

- A, na przykład, gejów?

- Jesteś gejem? – Spojrzał na mnie, nie wiem, czy bardziej wystraszony, czy oburzony.

- Nie – odpowiedziałem. – Ale w Europie toleruje się gejów. No – dodałem - generalnie.

- Więc co to ma do rzeczy? – Zapytał. Uśmiechnąłem się, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. Siedzący obok faceci, usłyszawszy i zrozumiawszy, najwyraźniej, słowo „gay”, zaczęli nam się przyglądać z ukosa.